

Nr 5

31 marca 2015  
GnieznoRedaktor naczelny:  
Mieszko CiesielskiRedaktorzy:  
Marek Błaszczyk  
Tomasz Błaszczyk

I N S T Y T U T U K U L T U R Y E U R O P E J S K I E J U A M

**W NUMERZE:** Dorota Wachowiak „Praga – miasto magiczne. Sprawozdanie z ekspedycji naukowej”, s. 1; Paulina Bruderek „Pieprz doprawiony Beatlesami – recenzja płyty *Sgt. Pepper’s Lonely Hearts Club Band*”, s. 3; Holden Caulfield „CHAPTER 25,5” – pamflet, s. 9; Lester Burnham „Lepiej późno niż później, czyli czego nie kumają małolaty” – pamflet, s. 11.

Dorota Wachowiak (IKE UAM)

### ***Praga – miasto magiczne. Sprawozdanie z ekspedycji naukowej***

Studenci Instytutu Kultury Europejskiej w Gnieźnie nie należą do osób nieangażujących się w akademickie inicjatywy. Co więcej, sami podejmują się organizacji różnych przedsięwzięć, czego dowodem jest kolejna ekspedycja naukowa. Tym razem za cel swoich historyczno-kulturowych dociekań obrali Pragę – piękną, nadwiślańską stolicę Czech.

Ekspedycja zorganizowana została w marcu 2015 roku, z inicjatywy doktorantów z IKD „Agenoris”. Adresowana była do studentów Instytutu Kultury Europejskiej pod hasłem „Wyjedź z nami - doktorantami”. Do Pragi wyjechała grupa dziewięciu osób: dwóch doktorantów (Tomasz Błaszczyk i Marek Błaszczyk) oraz siedmioro studentów (Dorota Wachowiak, Paulina Bruderek, Weronika Kamińska, Konrad Ratajczak, Małgorzata Deszcz, Patrycja Knast i Katarzyna Duszyńska). Zespół organizatorów, pod przewodnictwem Tomasza Błaszczyka, stanął przed trudnym zadaniem - należało wybrać możliwie najwięcej z dość licznej grupy wartych odwiedzenia miejsc. Doktoranci i studenci sprościli jednak wyzwaniu, czyniąc czterodniowy wyjazd naukowy niezwykle atrakcyjnym poznawczo.

Uczestnicy ekspedycji mogli przespacerować się między innymi uliczkami Starego Miasta. Jest to zabytkowa dzielnica Pragi, centrum kulturowe i handlowe. W obrębie Starego Miasta znajduje się rynek staromiejski, na którym odnaleźć można ratusz z wieżą widokową. W centralnej części placu znajduje się pomnik Jana Husa, który odsłonięto w 1915 roku. Jedną z głównych atrakcji staromiejskiego rynku jest XV-wieczny zegar astronomiczny „Orloj”. Pokazuje on położenie ciał niebieskich. Składa się także z medalionów reprezentujących miesiące. W jego obrębie znajdują

się dodatkowo ruchome figurki przedstawiające dwunastu apostołów oraz wyobrażenia Śmierci, Turka, Marności i Chciwości.

Będąc na prawym brzegu Wełtawy nie można było nie zwiedzić starej dzielnicy żydowskiej - Józefowa. Do naszych czasów przetrwało tu wiele budynków sakralnych. Studenci, wraz z doktorantami, mieli okazję zwiedzić najstarszą czynną synagogę w Europie. Synagogę Staronową, bo o niej mowa, wybudowano w 1270 roku. Wzniesiono ją w stylu wczesnogotyckim. Wiąże się z nią różne legendy. Według jednej z nich, zamieszkiwana była niegdyś przez Golema, obdarzoną niesamowitą mocą istotę ulepioną z gliny. Golem stworzony miał być przez rabina Jehudę Low ben Bezalela (1520-1609). Szczątki Golema po dziś dzień mają znajdować się na strychu synagogi, w której pobliżu wzniesiony został dom modlitewny, a obok niego usytuowano żydowski cmentarz. W obrębie Józefa odnaleźć można także inne żydowskie świątynie, w tym Synagogę Pinkasa czy Synagogę Hiszpańską.

Wiele emocji wzbudził spacer Mostem Korola, z którego roztacza się przepiękny widok na oba brzegi Wełtawy. Most ma około 516 metrów długości i 9,50 metra szerokości, a tworzy go 17 łęków, które spoczywają na 15 filarach. Dzięki temu Most Karola jest najstarszym zachowanym mostem kamiennym świata o tej rozpiętości przęsł. Znajduje się na min 30 statui przedstawiających głównie postaci świętych, z których najważniejszą dla Czechów jest ta przedstawiająca św. Jana Nepomucena, który w 1393 roku został z tego mostu zrzucony za niewyjawienie tajemnicy spowiedzi. Znajdując się na Moście Karola można w pełnej krasie ujrzeć kolejną dzielnicę Pragi - Hradczany, na której zwiedzanie uczestnicy ekspedycji poświęcili kolejne dwa dni.

Hradczany to królewska dzielnica Pragi. Nazwa nie jest przypadkowa, znajduje się tam bowiem Zamek Królewski, w ciągu stuleci swojego istnienia wielokrotnie przebudowywany. Najważniejszą jednak budowlą hradczańską jest katedra św. Wita. To jeden z najcenniejszych przykładów architektury dojrzałego gotyku i neogotyku. Katedra ta jest siedzibą praskich arcybiskupów i prymasa czeskiego. Z tego też powodu jest ona najważniejszym kościołem nie tylko Pragi, ale i całych Czech. W czasach, kiedy Czechy były monarchią, Katedra św. Wita była miejscem koronacji i wiecznego spoczynku królów czeskich. Będąc na Hradczanach, studenci Instytutu Kultury Europejskiej nie zapomnieli o obowiązkowym spacerze słynną Złotą Uliczką, która niegdyś zamieszkiwana była przez zamkową służbę, złotników i straż zamkową. W późniejszych latach, a dokładnie w XX wieku, uliczkę zaczęli zamieszkiwać ludzie kultury, pisarze i poeci. W 1917 roku w domku numer 22 mieszkał i tworzył najśłynniejszy czeski pisarz – Franz Kafka (1883-1924). Poza wymienionymi powyżej zabytkami uczestnicy ekspedycji zwiedzili również Stary Pałac Królewski i Bazylikę św. Jerzego.

Ważnym punktem w programie zwiedzania Pragi był Wyszehrad. Jest to nazwa wzgórza na prawym brzegu Wełtawy, które zyskało na znaczeniu już w X wieku. Za panowania Wratysława II (1032-1092) urosło do rangi głównej siedziby władców Czech. Z polecenia władcy, na wyszehradzkim wzgórzu wzniesiono kościół św. Piotra i Pawła oraz rotundę św. Marcina, które przetrwały do naszych czasów. Przy kościele znajduje się cmentarz, na którym pochowane zostały najwybitniejsze osobistości Czech, w tym wielu poetów i pisarzy. Za panowania następców Wratysława II zamek na Wyszehradzie tracił coraz bardziej na znaczeniu na rzecz Hradczan. Ostatnim rezydującym tu władcą był Sobiesław I Przemysłida (1128-1180). Ostatecznie całe wzgórze, wraz z zabudowaniami, z polecenia najwybitniejszego czeskiego króla, Karola IV Luksemburskiego (1316-1378), zostało włączone w obręb murów miejskich.

W czasie ekspedycji studenci wygłosili interesujące referaty dotyczące odwiedzanych miejsc, historii i kultury Czech. Ale nie samym zwiedzaniem żyje student. Popołudniami, kiedy temperatura znacznie spadała, należało się posilić i rozgrzać. Świetnym rozwiązaniem na to drugie była wspinaczka z bagażami na wzgórze Petřín, na którym znajdują się niedrogie domy studenckie, wieża widokowa, obserwatorium astronomiczne i tzw. Mur Głodowy, wybudowany na zlecenie Karola IV w XIV wieku. Według legendy został wzniesiony po to, aby dać pracę i zarobek bezdomnym. Jednak fakty historyczne mówią, że Karol IV planował dzięki niemu rozbudować hradczańskie podgrodzie, a obecną dzielnicę Malá Strana. Na szczęście na wzgórze można dostać się nie tylko na piechotę, ale również dzięki kolejkce, która znacznie uatrakcyjnia, a jednocześnie ułatwiła turystom poruszanie się po Pradze. Kiedy jest się już rozgrzanym po spacerze po Petřinie, warto się posilić, a najlepsze spośród czeskich potraw są słynne, serwowane na przeróżne sposoby, knedliki.

Kilkudniowa ekspedycja do stolicy Czech z pewnością nie zaspokoila głodu wiedzy i pragnień podróżniczych naszych studentów. Należy zatem uważnie wypatrywać kolejnych plakatów z hasłem „Wyjedź z nami – doktorantami”.

\* \* \*

Paulina Bruderek (IKE UAM)

## **Pieprz doprawiony Beatlesami – recenzja płyty *Sgt. Pepper's Lonely Hearts Club Band***

O płycie *Sgt. Pepper's Lonely Hearts Club Band* mówi się, że jest legendą. Początkiem nowej ery w dziejach nie tylko Beatlesów, ale muzyki w ogóle. Pierwszym koncepcyjnym albumem w dziejach rocka, punktem odniesienia dla innych artystów, muzycznym kamieniem milowym. Pierwsze egzemplarze *Stg. Pepper'a*, gotowe do dystrybucji, ujrzały światło dzienne 1 czerwca 1967 roku. Wabiły rzesze fanów wtedy i teraz do tego stopnia, że obecnie ilość sprzedanych egzemplarzy szacuje się na ponad 32 miliony, dzięki czemu płyta uplasowuje się na liście najlepiej sprzedających się albumów na świecie. Jednocześnie jest najlepiej sprzedającym się albumem zespołu. Odniosła błyskawiczny sukces – przez 27 tygodni widniała na szczycie *UK Albums Chart*, zaś równolegle w Stanach Zjednoczonych na liście *Billboard 200* – 15 tygodni. Rok po wydaniu płyty The Beatles otrzymali za nią cztery nagrody Grammy. Na liście *Rolling Stone's 500 Greatest Albums of All Time* zajmuje zaszczytne pierwsze miejsce. Tak samo na subiektywnym przeglądzie *All Time Top 1000 Albums* Colina Larkina, twórcy pozycji *Encyclopedia of Popular Music*. Choć to tylko kilka zestawień, na których *Sgt. Pepper* przoduje, wobec powyższych danych trudno przecenić wyjątkowość i przełomowość albumu. Nurtuje mnie pytanie – co tak szczególnego ma w sobie ta płyta, skoro już od niemal 50 lat jest niezmiennie gloryfikowana?

Wystarczy spojrzeć na Sierżanta Pieprza w kontekście twórczości Wielkiej Czwórki. Gdyby porównać tę, ósmą z kolei, płytę z poprzednimi albumami, trudno uwierzyć, że nagrał je jeden i ten sam zespół. Choć w jego karierze już wcześniej pojawiały się wewnętrzne przełomy (jak na przykład fantastyczna płyta *Rubber Soul* z 1965 roku czy – zaraz po niej – *Revolver* z 1966), żaden z nich nie był tak istotny. Przede wszystkim dlatego, że *Sgt. Pepper's Lonely Hearts Club Band* jest faktycznie płytą koncepcyjną. Co prawda nie spełnia zasady, w myśl której na jednej płycie teksty piosenek powinny łączyć się w pewną całość, ale mam wrażenie, że odwrócenie owej zasady jest właśnie swoistym konceptem. Otóż tutaj teksty nie mają ze sobą absolutnie nic wspólnego. Są jak niepasujące do siebie puzzle, ostatecznie tworzące barwny obraz. Szczeliny między nimi wypełnia muzyka, sklejjąc poszczególne niepokorne elementy. A wszystko to serwowane jest w idealnym do tego celu opakowaniu. Ta płyta jest tak całościowa, że nie potrzebowała nawet singli, by ją reprezentowały.

Jednak na jej fenomen nie składają się jedynie piosenki i okładka. Orkiestra Samotnych Serc Sierżanta Pieprza to całkowicie nowe zjawisko, nowy świat, nowa subkultura. Żeby to zrozumieć, należy sięgnąć do historii zespołu, co uczynię teraz w wielkim skrócie. Rok 1967 był dla Beatlesów szczególny; zrezygnowali już wówczas z koncertowania, poświęcając się całkowicie pracy w studio. Był też swoistym początkiem końca – zainteresowania muzyczne poszczególnych członków zaczęły rozchodzić się z dużym nasileniem, ich menadżer, w obliczu osobistych problemów, przestał prowadzić zespół. Sytuacja wewnętrzna bandy nie rokowała dobrze. Wtedy właśnie pojawił się pomysł na stworzenie czegoś nowego, zupełnie odmiennego, co scaliłoby Beatlesów ponownie w ekscytującym przedsięwzięciu. Pałeczkę przejął wówczas Paul McCartney. Był najbardziej zdeterminowany, by wykorzystać potencjał rozwiniętych już twórczo Beatlesów, a także czasów, jakie nastały. A czasy sprzyjały eksperymentom. Artyści powoli uwalniali się spod wpływu swoich agentów i oczekiwań odbiorców, widmo lata miłości było już tak bliskie, że niemal namacalne. W warstwie muzycznej bezpośrednim impulsem dla powstania *Sgt. Peppera* był wydany w maju 1966 roku album *Pet Sounds* grupy The Beach Boys, bardzo doceniony przez krytyków i odbiorców. Chęć rywalizacji sprawiła, że najnowszy album Beatlesów tworzony był z zamiarem przekroczenia tego pułapu i ustanowienia nowego.

W przypadku prawie każdego utworu z tej płyty odnoszę wrażenie, że między uwagą, jaką Beatlesi poświęcili na stworzenie tekstów a nakładem pracy nad muzyką, panuje niewyobrażalna dysproporcja. W początkowym okresie twórczości zarówno tekst, jak i warstwa muzyczna powstawały niekiedy w kilka minut, nagrania również przebiegały pręźnie. Dla przykładu – debiutancka płyta *Please, Please Me* z 1963 roku powstała w 9 godzin i 45 minut (!). Natomiast podczas pracy nad *Sgt. Peppere*m muzycy spędzili w studio ponad 700 godzin (!!!). Warto też wspomnieć o skrajnych kosztach produkcji obu płyt – 400 funtów vs. 25 tys. funtów. Wynikało to z kolejnego eksperymentu, jakim było zatrudnienie profesjonalnej orkiestry. Nadało to zupełnie nowe brzmienie i wymiar muzyce zespołu. Ponadto Beatlesi ze swoim producentem, niezastąpionym Georgem Martinem, pracowali nie tyle nad nowymi dźwiękami, co *odgłosami* pojawiającymi się w piosenkach. Poza czystą muzyką na płycie usłyszeć możemy odgłosy ulicy, śmiech tłumu, szczekanie psów, klaksony przejeżdżających aut czy gwar rodem z cyrkowego przedstawienia. Chwilami przez te efekty ma się wrażenie, że piosenki są nagrane gdzieś w przestrzeni publicznej, może właśnie w świecie Sierżanta Pieprza? Słysząc to już od pierwszego utworu – *Sgt. Pepper's Lonely Club Band*. W nim wyimaginowana orkiestra wita słuchaczy, zachęca do wspólnego udziału w show, zbiera oklaski. Właściwie to ekstrawaganckie *intro* nie grzeszy bogactwem w sferze tekstowej, ale spełnia swoją funkcję. Czujemy się powitani, włączeni do przedstawienia Orkiestry Samotnych Serc i zaintrygowani brzmieniem. Tak jak zaplanował to McCartney. Czekamy na dalszą

część koncertu, jednak... Kolejny utwór nijak ma się do pierwszego - *With A Little Help From My Friends* jest bardzo ładną piosenką o przyjaźni, wyśpiewaną przez Ringo Starra. Warto to podkreślić, gdyż ten Beatles najrzadziej miał okazję zaprezentować swój wokal. Co ciekawe, choć jak zwykle duet Lennon/McCartney dominuje na krążku, obu pozostałym Beatlesom również coś przypadło w udziale. Co prawda wyśpiewali tylko po jednym utworze, ale jak na album to i tak sporo. Wróćmy jednak do piosenki – opowiada ona nie tylko o przyjaźni. Otóż nie jest tajemnicą, że podczas pracy nad płytą członkowie zespołu nie stronili od narkotyków. Grupowo najchętniej sięgali po marihuanę, indywidualnie po różne środki. Paul był największym z zespołu miłośnikiem właśnie konopi indyjskiej, zaś Johnowi w tym okresie szczególnie przypadło do gustu LSD. A teraz wystarczy spojrzeć na kilka wersów piosenki, by zarysowały się podejrzenia o narkotykowym podtekście - *What do you see when you turn out the light, / I can't tell you, but I know it's mine / I get high with a little help from my friends*. A zatem podróż przez album rozpoczynamy od zabawy z Orkiestrą, przechodzimy przez radosną atmosferę przyjacielskich posiadówek, by przy trzeciej stacji dać się kompletnie zdezorientować. *Lucy In the Sky with Diamonds* nie jest zapewne tym, czego można się spodziewać po energetycznym wstępie, ale w przedziwny sposób tu pasuje. Między innymi ten utwór decyduje o zakwalifikowaniu albumu do gatunku rocka psychodelicznego. To oniryczna, natchniona piosenka o dziewczynie z kalejdoskopowymi oczami, płynącej po niebie pośród diamentów; o mandarynkowych drzewach, gazetowych taksówkach i kwiatach z celofanu. Powolna, leniwa, nastrojowa, jednocześnie pobudzająca wyobraźnię. W moim odczuciu jest jedną z najważniejszych w dorobku Beatlesów, a już na pewno w dorobku Johna Lennona. Z końcem piosenki następuje kolejne energetyczne szarpnięcie. *Getting Better* to wyznanie mężczyzny, który zwykł być złym chłopcem, złym uczniem, złym partnerem, ale na szczęście zmądrzał i teraz wszystko jest coraz lepiej. Jest to całkiem radosny i pozytywny utwór, chórki nadają mu niewybrednej lekkości. Jak na ironię akurat podczas nagrywania tego kawałka John zamiast środka pobudzającego przypadkowo zażył LSD, co niemal doprowadziło do jego śmierci, gdy wyszedł przewietrzyć się na dach (wysokiego!) budynku. Narkotyki, ciągle narkotyki... Nic więc dziwnego, że cały album przypomina jedną narkotyczną wizję. Kolejny utwór, *Fixing a Hole*, nie odbiega od klimatu. Również traktuje o używkach, konkretnie o marihuanie, co przyznał Paul McCartney kilka lat później. Faktycznie, tekst jest nieco niespójny, jakby był zapisem rozbieganych myśli na haju. Paul śpiewa, że jest mu obojętne, czy ma rację czy nie, po prostu podąża za swoim umysłem. A gdzie ten zmierza – nie wiadomo. Muzyka też w zasadzie obojętnieje, a na pewno zwalnia. Delikatne echo i zawodzące chórki w tle budują specyficzny klimat, by za chwilę się wyciszyć i ustąpić nowym, pięknym dźwiękom harfy. To właśnie one rozpoczynają moją ulubioną piosenkę z albumu – *She's Leaving Home*. W porównaniu do poprzednich utworów brzmi niezwykle

czysto i spokojnie, delikatnie zalewa umysł głębokim brzmieniem. Duet Lennon/McCartney zaśpiewał przy akompaniamencie kwartetu smyczkowego, kontrabasisty i harfistki. Nie wiem, który instrument czy głos tu dominuje. Wszystkie one brzmią niezwykle pięknie i harmonijnie. Współgrają również z tekstem, choć ponownie nie jest on specjalnie ambitny – nakreśla historię dziewczyny, która uciekła z domu, zostawiając w nim rodziców. Utwór jest prosty, emocjonalny i wzruszający. Budzi bardzo szlachetny rodzaj smutku – ten głęboki, który nie wyciska łez, ale ściska serce. Największym minusem tej piosenki jest fakt, że się ona kończy. I to JAK się kończy. Odbiorca nie ma ani chwili, by oswoić się z myślami, gdyż nagle dosłownie wybucha kolejny numer – *Being For The Benefit Of Mr. Kite*. Kolejny psychodeliczny utwór Lennona, stylizowany na słuchowisko z cyrkowego przedstawienia. Bardzo chaotyczny, hałaśliwy. Pomimo zachowanego rytmu, dźwięki sprawiają wrażenie niedopasowanych do siebie, podobnie jak poszczególne wersy tekstu. Sam autor przyznał, że nie jest specjalnie zadowolony z tego numeru. Inspiracja była prosta – John kupił plakat reklamujący jakąś rewię cyrkową, na szybko połączył ze sobą kilka haseł, dodał nieco psychodelii i *voilà* – albumowa zapchajdziura (terminu tego używam nieprzypadkowo, sami Beatlesi nazywali tak niektóre swoje utwory) gotowa... Mimo mojej lekkiej animozji (wciąż mam pewne pretensje za zakłócenie słodkiego spokoju wypływającego z poprzedniego utworu) po raz kolejny muszę przyznać (choć wszelka logika się głośno buntuje), że paradoksalnie *Mr. Kite* komponuje się z resztą płyty. Utwór, choć gwałtowny, jest krótki i szybko wkraczamy w kolejną piosenkę. Tym razem Beatlesi ponownie zaskakują innowacyjnością i serwują nam indyjską ucztę dla uszu. To czas George'a Harrisona i jego *Within You Without You*. George jako największy (i właściwie chyba jedyny) filozof wśród Beatlesów nie pozwolił sobie na fuszerkę. Jego utwór jest doskonale dopracowany, głęboki w obu warstwach – zarówno tekstowej, jak i muzycznej. Zainteresowanie orientalnymi brzmieniami i jego ukochanym sitarem znajduje tu wyraz. Właściwie słuchając *Within You Without You* można zamknąć oczy i próbować pojąć, gdzie kończy się głos artysty a zaczyna brzmienie instrumentów i odwrotnie. Piosenka jest jednością samą w sobie. Jest doskonała. Jest duchowym pierwiastkiem całego albumu. I ponownie mamy tu do czynienia ze zjawiskiem, które kompletnie nie wiąże się z resztą płyty – i to ma być album koncepcyjny...? Jednocześnie nie potrafię wyobrazić sobie *Sierżanta Pieprza* bez tego dzieła. Podobnie jak bez kolejnego utworu – *When I'm Sixty Four*. Jego klimat często określany jest słowem wodewilowy. I słusznie. Co ciekawe, choć tekst przywodzi na myśl przemyślenia dojrzałego człowieka, został napisany przez Paula, gdy ten miał zaledwie 15 lat. Utwór jest bardzo przyjemny i jako kolejny charakteryzuje się dość czystym brzmieniem. Jednak nie zapada w pamięć tak bardzo, jak prawdopodobnie chciałby tego autor. Może to przez wciąż unoszące się widmo kompozycji George'a? Ale nie ma czasu, by się nad tym zastanowić, gdyż od Paula przechodzimy do... Paula, ponownie. Tym razem w utworze *Lovely Rita*.

To całkiem zabawny, ironiczny kawałek. Z pozoru jest pochwałą cudowności niejakej Rity. W rzeczywistości inspirowany był panią parkingową, która pewnego dnia wręczyła Paulowi mandat za złe parkowanie. No cóż, najwyraźniej musiała go wręczać w naprawdę uroczy sposób, skoro stała się natchnieniem Beatlesa. Niemniej jednak utwór jest całkiem przyzwoity, robi wrażenie zbudowanego z kilku warstw muzycznych, przepełnionych różnymi odgłosami. Sam George Martin skomentował kiedyś: *Beatlesi stali się jakimiś nałogowcami dźwięku – nagrywając muzykę do Lovely Rita spędzili ponad godzinę wydając różne fajne hałas przy pomocy metalowego grzebienia i papieru do pakowania*. Jednak te odgłosy nie mogą konkurować z kakofonią dźwięków, jakiej doświadczyć możemy w kolejnym utworze – *Good Morning, Good Morning*. Oto kolejny chłam Johna, jeśli chodzi o tekst, i ciekawe przeżycie muzyczne zarazem. Niezbyt ambitny utwór, nie dorasta do pięt *Lucy*, z resztą żadna kompozycja Johna z albumu nie dobiła do tego poziomu. Po tej zapchajdziurze ponownie słyszymy dźwięki *Stg. Pepper's Lonely Club Band*, tyle, że tym razem jest to wersja *Reprise*. I tutaj głowię się nad sensem umieszczania go w tym miejscu, a w zasadzie na albumie w ogóle. Poza tym, że jest szybszy i brzmi ciężiej niż wersja rozpoczynająca płytę, nie wnosi nic nowego do kompozycji. Na szczęście ten mankament szybko wynagrodzony zostaje przez ostatni utwór, przez wielu uważany za *crème de la crème* płyty – *A Day In The Life*. Faktycznie, pod względem muzycznym jest on kwintesencją *Sierżanta Pieprza*. Zawiera w sobie wszystko, co charakterystyczne dla tego albumu – w tekście powaga i melancholia miesza się z przeciętnością codzienności, zgodnie z czym utwór podzielony jest na segmenty należące kolejno do Johna i Paula. Zróżnicowanie pod względem muzyki jest ogromne. Podczas nagrywania utworu Lennon polecił orkiestrze, by pokazali mu koniec świata – tak właśnie brzmi zwieńczenie utworu. Jak koniec świata. Przez ostatnie sekundy każdy muzyk grał niezależnie od innych, wedle własnego gustu, warunek był tylko jeden – mieli grać od najcichszych do najgłośniejszych dźwięków. Nie było lepszego miejsca dla końca świata, niż koniec płyty. Koniec Orkiestry Samotnych Serc Sierżanta Pieprza.

Tak właśnie wygląda muzyczna podróż przez tę płytę Beatlesów. Pozostał jeden element wart omówienia – oprawa graficzna albumu. Okładka *Pieprza* również wpisała się na stałe do historii naszego kręgu kulturowego. Zrodzona z koncepcji pełnego zapachu Paula McCartney'a, fizycznie stworzona przez dwóch artystów pop-artowych swoich czasów – Janna Hawortha i Petera Blake'a. Jest niesamowita. Przedstawia stojących w centrum członków Orkiestry Sierżanta Pieprza, otoczonych gronem sławnych postaci. Postaci, których jest zbyt wiele, by je wymieniać. Wśród nich znajdują się również sami Beatlesi, jako figury woskowe, w swojej „najwcześniejszej wersji”. Scena dookoła wypełniona jest różnorakimi, niezwiązanymi ze sobą, niesamowitymi gadżetami. Z powodzeniem może funkcjonować w świadomości odbiorców jako samodzielne dzieło sztuki.



Gdy patrzyłam na tę okładkę po raz pierwszy, wydała mi się dziwna. Zbyt chaotyczna i niespójna. Niezrozumiała i fascynująca, niepokojąca i egzotyczna. Przepełniona barwami i technikami, aż miałam ochotę rozłożyć ją na części pierwsze i zebrać w kilka oddzielnych obrazów. Jednak z czasem zaczęłam rozumieć jej istotę. Te same słowa odnieść mogę do muzyki. To właśnie w tym zgiełku i rozproszeniu, w samym ich epicentrum panuje harmonia, którą trudno odnaleźć. Ale gdy to już nastąpi, wydaje się najbardziej oczywistą sprawą na świecie. Okładka odzwierciedla płytę, płyta odzwierciedla okładkę. Słowa i dźwięki naprzemiennie gubią się i odnajdują. A my, będąc pośrodku, przypominamy sobie pytanie, które zrodziło się w naszych głowach już dawno – kim do diabła jest ten Sierżant Pieprz? Konwencja albumu wychodzi poza niego i ujawnia się w odpowiedzi – Sierżant jest konceptem, górującym nad Orkiestrą doznań. Sprawia, że to nie Wielka Czwórka stoi w centrum muzycznego wydarzenia, lecz on sam. Jedno jest pewne – nie mylili się Beatlesi śpiewając: *It's wonderful to be here, / It's certainly a thrill. A Sgt. Pepper's Lonely Club Band* to przedstawienie, którego nie można przegapić.

\* \* \*

Holden Caulfield

## CHAPTER 25,5

(...) Ostatnio poszedłem do kina. Z własnej woli, słowo daję! Zupełnie nie wiem, co mi odbiło, bo przecież nienawidzę kina jak niczego na świecie. Chciałem chyba zabawić się w masochistę. Nie do końca mi się to udało, bo trafiłem na nie aż tak beznadziejny film. To też niedobrze, bo potem zadręczałem tym moją i tak udręczoną wystarczająco głowę. Ale do rzeczy.

Filmidło nosiło tytuł *American Beauty* i to był jeden z tych obrzydliwie modnych ostatnio filmów o niedalekiej przyszłości. Mieli tam szybkie bryki, a w domach wszystko działało na pilota, wiecie, wystarczy wcisnąć guzik, a okna same się odsłaniają. W przyszłości ludzie będą widocznie leniwi do granic możliwości. Nawet jestem skłonny w to uwierzyć. Fabuła nie była szczególnie skomplikowana, amerykańska rodzinka, z pozoru szczęśliwa, a w rzeczywistości każde z nich nie cierpi swojego życia i nie mogą się nawzajem znieść. To cholernie przytłaczające. Dalej się na szczęście rozkręca, ale nie będę o tym wszystkim mówił, bo może będziecie chcieli ten film

obejrzeć. Powiem wam za to o facecie, który był głównym bohaterem. On to mnie dopiero przytłoczył, słowo daję! Co tu kryć, zabiło mi to ćwieka w głowę.

Gość nazywa się Lester Burnham i jest naprawdę żalonym typem. Później się stara z tego wykaraskać, ale wiecie, tak po mojemu to średnio mu to wychodzi. Zresztą, to wszystko napawa mnie bezsenssem jak mało co. Mówię wam, obłęd w ciapki. Facet ma pewnie ze 40 lat i przechodzi kryzys wieku średniego. Z tej całej historii nie wynika nic więcej, jak to, że całe życie był frajerem. Dał się stłamsić swojej głupiej żonie, jakby w ogóle nie miał jaj. No, chyba nie miał, bo w pracy też się dał stłamsić. Wszystkim i wszędzie dawał się dymać. Wiecie, nie chcę być niesprawiedliwy, ale nie widzę najmniejszego powodu, by mu współczuć. Jak na moje oko, to był po prostu pantoflarzem i nieudacznikiem. Nawet ze swoją córką nie umiał się dogadać, bo, wyobraźcie sobie, nie zauważył, że ona nie raczkuje w śpioszkach po salonie, tylko ma już 16 lat. On chyba nawet nie wiedział, że one obie, żona i córka, gardzą nim, i to jawnie. To znaczy wiedział, ale udawał, że nie wie. Taki był głupi. Macie pojęcie?

A teraz najlepsze – Lester zabujał się w koleżance swojej córki. W 16-letniej cheerleaderce, z blond czupryną. I jeszcze imię miała banalne – Angela. Ona to dopiero była głupia, mówię wam. A Lesterowi totalnie odbiło na jej punkcie. Odstawiał takie żalose numery, jak na przykład oblewanie się piwem na wieść o tym, że ta cała Angela zostaje na noc u nich w domu. Albo podsłuchiwał, jak ona mówi, że z niego jest całkiem niezły facet, a gdyby jeszcze trochę potrenował, to już w ogóle byłby idealny. I wiecie, co ten bałwan Lester robi? Nie zgadniecie. Idzie do garażu, znajduje zakurzone hantle i zaczyna ćwiczyć. Co wy na to? Mnie aż się wstyd zrobiło. Lepiej wam oszczędzę opisu jego fantazji z nagą Angelą w wannie pełnej róż, bo to jest już tak żalose, że chyba i tak nie byłbym w stanie tego opowiedzieć. Zupełne dno. Bardziej pogрузić chyba się nie mógł.

I teraz słuchajcie – cud. Facet się nagle ocknął. Nie wiem, co mam o tym sądzić. Bo to niby bomba, że się ocknął i zrozumiał, że zmarnował sobie życie, dając się tak dymać, ale jak pomyślę o tym, że to trochę za sprawą tej Angeli, to nie do końca mi się to podoba. Za nic nie zrozumieję, że dotarło to wszystko do niego tak późno. Ale tak czy inaczej – Lester zaczął się buntować. Wyobraźcie sobie, że zaczął nawet palić trawę. Zrobiło się całkiem zabawnie. Bo nie mówiłem wam, ale Lester był bardzo dowcipny. Wszystko zaczęło się toczyć ku lepszemu, no i w ogóle. Nie wiem jak wy, ale ja i tak nie mogę pojąć tego, że jak już go nagle oświeciło, to nadal tkwił w tym dalej, że w diabły tego wszystkiego nie rzucił, zwłaszcza tej swojej apodyktycznej żonki. Może by i to nawet zrobił, ale tutaj, jak na ironię losu, Lester umiera. Nie będę wam mówił, w jaki sposób, bo może będziecie chcieli sami zobaczyć. Tu się dopiero poczułem przytłoczony. Już złapałem oddech, już przestałem się czuć żalose, a tu nagle, bum!, szlag wszystko trafił. No sami powiedzcie, nie bylibyście zdołowani? Chociaż właściwie zawsze tak jest. Ilekroć się trochę zaczyna układać, to się

wszystko musi na nowo spieprzyć. Tak jak u Lestera. Facet przerażał całe życie, a jak już wreszcie przejrzał na oczy i zaczął się z tego wygrzebywać, umarł. W rezultacie miał może fajny kwartał, a potem przeniósł się na lepszy świat i tyle sobie pożył. Cholernie przygnębiające, nie sądzicie?

Jak już mówiłem, to nie był aż tak beznadziejny film, skoro nawet nie byłem po nim wściekły, tylko zdołowany. Ale mam nadzieję, że jeśli miałoby mi odbić tak, jak Lesterowi, jeśli bym miał dawać robić z siebie frajera całe życie, wiecie, to że przedtem ktoś mnie kropnie. Póki co, nie jest chyba ze mną tak źle. Nie daję z siebie robić frajera. No, może czasem. Ale nie do tego stopnia jak Lester. I mam nadzieję, że tak zostanie. Niektóre rzeczy powinny zostawać zawsze niezmienione. Żeby można je wpakować do jednej z tych wielkich oszklonych szaf i tak je przechowywać. Jeśli by miało być inaczej, to naprawdę, mam nadzieję, że mnie szlag trafi, zanim mi coś odstrzeli. Nie żartuję, słowo daję.

\* \* \*

Lester Burnham

### **Lepiej późno niż później, czyli czego nie kumają małolaty**

Powinienem być się tego spodziewać, ale najwyraźniej nawet tu, teraz, po tym wszystkim, i przed tym wszystkim, rzeczy wciąż mogą zaskakiwać. Ale cieszy mnie to, bo czym byłoby istnienie, w jakimkolwiek sensie, gdyby nic nas nigdy nie zaskakiwało? No właśnie.

Moją historią zainteresował się pewien, no, gówniarz, bo zdecydowanie dało się to wywnioskować ze sposobu, w jaki pisze. Nie żeby mi to jakoś specjalnie przeszkadzało, ale nijak nie mogę nazwać go inaczej. Teraz zdziwienie trochę już opadło, a w jego miejscu pozostało coś w rodzaju irytacji. Bo nie za bardzo rozumiem, dlaczego ktoś taki jak on, niejaki Holden Caulfield, którego historią, trochę w odwecie, też się zainteresowałem, podchodzi do całej tej opowieści tak... płytko, przyziemnie i jakoś, no, niestety tępo. Broń Boże, nie uważam go za kogoś mądrego, jest być może jeszcze zbyt młody, żeby zrozumieć pewne rzeczy, ale nie musi, doprawdy, wyżywać się na czyjejś historii tylko dlatego, że jest zbyt ograniczony, żeby ją zrozumieć.

Zgodzę się – można było nazwać mnie żalonym, frajerem, pantoflarzem i innymi takimi, ale czy naprawdę tylko to był w stanie dostrzec? Jeżeli tak, to cóż, współczuję. Sam uważałem się za

kompletnego frajera, ale, jak widzicie, użyłem czasu przeszłego. I wcale nie udawałem, że nie wiem, jaki mają stosunek do mnie moja żona i córka. Po co miałbym to udawać, skoro było to nad wyraz oczywiste? Zwyczajnie nie chciałem się nad tym rozwodzić. Moje życie i tak było katastrofą, bez rozmyślania nad tym, jak wielką. A jeśli idzie o tzw. pracę, to oby Szanowny Gówniarz nigdy nie musiał się przekonać o tym, że jeśli myślimy, że nam na czymś zależy, jesteśmy to w stanie znieść bardzo wiele. Oczywiście do czasu, kiedy dotrze do nas, jak bardzo to nie ma sensu. Ale człowiek uczy się na własnych błędach, więc przy okazji chciałbym życzyć panu Caulfieldowi powodzenia.

Najbardziej rozdrażnił mnie ton, w jakim ten gość utrzymuje wypowiedź o Angeli, koleżance mojej córki. Jak głupim trzeba być, żeby nazwać ją banalną? Jak bardzo ograniczonym? A, no i o odstawianiu „żałosnych numerów” spowodowanych towarzystwem kobiet, mówi koleś, który zamówił prostytutkę i dał się okraść i sprać jej alfonsovi, och tak, co za dojrzały, absolutnie nie żałosny numer. Czapki z głów przed Holdenem C., największym Casanovą wszech czasów.

I przyznaję się, to w zasadzie przez jej obecność, w chwili, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, jej niewinność, delikatność i zdecydowanie NIEbanalność, zawładnęła moimi myślami. Swoją drogą, chciałbym móc pośmiać się z jego szczeniackich fantazji, na pewno są nad wyraz dojrzałe, jak cały Caulfield. Ale nie o tym chciałem. Nie wstydzę się przyznać, że to dzięki obecności Angeli, tej małolaty, moje życie tak się zmieniło. Chciało mi się. Po raz pierwszy od wielu lat chciało mi się coś zmieniać, o coś się starać. Więc nie sądzę, żeby moja nią fascynacja miała stać się powodem do drwin. Mimo szczerzej niechęci, życzę mu kogoś takiego. Kogoś, kto stanie się światłem w jego małym, nędznym życiu. Bo jest dużo mniejsze i znacznie, znacznie głupsze niż on sam sądzi. Nie rozumiem, dlaczego ten dzieciak tak się zadręcza. Powiedziałem „się”, bo właśnie robi to sam sobie. Nie ma nic przytłaczającego tak naprawdę w jego życiu. Mogłoby być takie sensowne i piękne, gdyby tylko przestał sam się nakręcać i dołować.

Jakim psychopatą trzeba być, żeby choćby chodzić do kina, jeśli się tego nie cierpi, a potem narzekać, jak bardzo tam było okropnie? No naprawdę nie mogę pojąć, jak można robić sobie coś takiego. W imię czego? Cierpienia? Ponoć uszlachetnia, ale bez przesady. Do czego ten impertynent chce dojść, doprowadzając się do szału na każdym kroku? Cholera, życie jest zbyt krótkie, żeby marnować je na... uprzykrzanie go sobie. Co innego innym, z tego można by czerpać jakąś, chorą bo chorą, ale przyjemność. Nie rozumiem tego szczeniaka. Robi sobie, ze swoim życiem, coś takiego, a jest wielce zniesmaczony i zdołowany, gdy ja robiłem to samo ze swoim. Cała, zasadnicza różnica polega na tym, że ja się w porę zorientowałem, co robię źle. I nie, nie uważam, że zrobiłem to za późno. Jestem szczęśliwy, że udało mi się to w ogóle zrobić, jak to mówią: „lepiej późno niż wcale”. Umarłem szczęśliwy, spełniony i wolny, zrobiłem wszystko, żeby czuć się dobrze, i tak było, czułem się dobrze. A teraz mam spokój. A on? Nigdy nie podjął żadnych starań, żeby zmienić to, co mu tak

niby wielce przeszkadza. Jaki umrze? Bo ja nie wróżę mu najlepiej. Więc może rzeczywiście lepiej byłoby dla niego, gdyby go ktoś w porę kropnął.

Bunt ot tak, dla samego buntu, być może miałby jakiś sens, gdyby nie kierował się przeciwko sobie. Nie rozumiem, jaki jest sens takiego funkcjonowania, szuka dziury w całym, zamiast skupić się na tym, na czym mu zależy i działać na tej określonej płaszczyźnie. Mnie wystarczyła taka Angela, żeby to zrozumieć. Tak niewiele, a tyle udało mi się osiągnąć. Dobijanie samego siebie, z pełną świadomością i premedytacją, może wyłącznie doprowadzić do tragedii. Bo nieudane, nieszczęśliwe życie bez momentu olśnienia zdecydowanie do tragedii zaliczam.

Nie rozumiem, jak można tak się wkurzać, kiedy na świecie jest tyle piękna. Wystarczy tylko przetrzeć te kaprawe, głupie, młodociane ślepa, żeby to dostrzec. Bo naprawdę, można być wdzięcznym, nawet za każdy moment swojego głupiego, małego życia. Grunt, żeby w porę się zorientować. Irytacja minęła całkowicie, pozostało tylko coś na kształt współczucia, ale mimo wszystko mam nadzieję, że smarkacz nie jest aż tak ograniczony, na jakiego wygląda.

\* \* \*